

Rozdział dziewiąty

W sierpniu nadal jest pięknie, chociaż wieczory już ciemne i zaczyna wiać chłodem. Najpilniej jest teraz na morzu, są dni, kiedy na plebanii nie pojawia się nikt. W sklepie i na pocztce spokojnie, czas na szczerze rozmowy z Adele Bergman i Julandą, dobrze poinformowaną i życzliwą. Dużo wie, bo lubi dopypywać, na przykład, czy wkrótce nie pora na nowego bobasa. Poza tym zatrzymuje pastora, by rozwił przed nią alandzką historię swojego rodu, aż do Adama. Rewanżując się, opowiada o postępkach w połowach: nie jest źle, chociaż nie narodził się jeszcze rybak, który uzna, że jest dobrze. W połowie września powinni być gotowi do zasalania śledzia i przygotowań na jesienne świętomichałowe targi.

Kantor ma gospodarstwo i pensję kościelną, nie jest zależny od połowów tak jak rybacy, ale i tak łowi przez wzgląd na tradycję i żeby synowie mogli zarobić. Wpada do kościoła w niedzielę rano ze zdrętwiałymi palcami, nie ćwiczył, gra o wiele gorzej niż wiosną i latem, to również należy do tradycji. Podczas kazania parafianie ziewają i dyskretnie drzemią, pozwala się im na to. A potem pędzą do łodzi, w kościele zostaje tylko kościelny, krząta się przez jakiś czas, zagaduje do pastora, który rozkoszuje się tym spokojem niczym kot. Chyba się nie zmęczył ten młody człowiek urlopowym tłumem? Ależ nie. Ale odpoczynek to mile widziana część egzystencji. Może za bardzo przywiązał się do spraw ziemskich – zastanawia się w obecności kościelnego – a teraz pora pomyśleć o duchowej stronie działalności.

Lecz gdy to mówi, wybucha śmiechem, chce o czymś opowiedzieć kościelnemu, którego krowa pasie się po drugiej stronie cieśniny oddzielającej wyspę kościelną od głównej.

– Rano siedziałem w zakrystii i rozmyślałem nad kazaniem. Było nieco mrocznie, ale nagle zrobiło się całkiem ciemno. Sądziłem, że słońce zaszło za chmury, więc spojrzałem w okno. Ujrzałem tam wielką, ciemną, nieruchomą twarz i wgapione we mnie oczy. Pomyślałem o samym diable, chociaż nigdy nie widziałem go tak konkretnie, i o wyrażeniu „Bóg cię widzi”, chociaż i Boga nie tak sobie wyobrażałem. Gapiącego się ciemnymi oczami. I ja się gapilem, zamarły, ale zamrugalem i spojrzałem ponownie. Wiesz, kto to był? Staruszka, ta o ciemnym łbie, przeprawiła się przez wodę i teraz zaglądała przez okno zakrystii. Pewnie równie przerażona jak ja i tak samo niezdolna pojąć, co widzi.

Obaj się śmieją, ale kościelny nie jest zadowolony, że jego krowa wtargnęła na pastwisko kościoła.

– To diabelne stworzenie – mówi. – Ogrodzenie wychodzi daleko w wodę, ale ta kanalia je opływa. Domyślam się, że Mona doprowadziła ją do porządku.

Faktycznie to zrobiła. Uzbrojona w porządną olchową różgę przegoniła zwierzę przez wyspę aż do wody. Nie dość, że musi pilnować własnego bydła, to jeszcze zajmuje się krową kościelnego. Na do cna wyskubanym przyłładku kościelnego nie ma już nic do jedzenia, dlatego przypłynęła do nich. Przez to krowy sąsiadów rozciągają siatkę, ale krowy pastorowe nie będą z tego powodu cierpieć. Obie są pokryte w odpowiedniej kolejności i pasą się na łące, na której wszystko odrasta ponad ich oczekiwania. To przez to wczesne koszenie, obfitą rosę i wieczorną wilgoć.

Jakby się tu było bliżej pierwotnych mocy. Petter dostrzega, że te pozostają w harmonii z pierwotnymi mocami Mony, która zadziwiająco dobrze się zaaklimatyzowała. Jeśli ją zapytać,

czy jej tu dobrze, prycha i mówi, że nie ma czasu o tym myśleć, jest zajęta. A jak człowiek jest zajęty, to chyba mu dobrze!

We wrześniu Sanna kończy półtora roku, zaczyna mówić jak dorosła. Petter popada w zachwyt.

– Mówi „letnicy”, mówi „solony śledź”. Czy to nie cudowne?

Nie może się napatrzyć na córeczkę, która się szarpie i wierci, aż Mona się złości.

– Co to za zachowanie! – podnosi głos. – Przestań ją tak zachwalać. Musi zrozumieć, że nie jest tu najważniejsza.

Wyciąga Sannę z objęcia taty, ta krzyczy i płacze, bo mama jest zła.

– A fe! – mówi mama. – Co to za zwyczaj! Posiedzisz w pokoju, aż znów będziesz grzeczna. – Wynosi ją z kuchni i z hukiem wsadza do łóżeczka. – Co to za zachowanie? Zostaniesz tu, aż się uspokoisz.

Zamyka drzwi i wraca do Pettera, który ma wyrzuty sumienia i wygląda na nieszczęśliwego. Biedna Sanna! Płacze teraz opuszczona. Dlaczego od czasu do czasu nie może być najważniejsza? Ale nie śmie zapytać o to Mony, która jest szczerze przekonana o tym, że dzieciom nie wolno zbyt popuszczać cugli, nie mogą sądzić, że przyszły na świat po to, by się nimi zajmować i im kadzić. Wychowanie boli, ale jest konieczne, żeby dziecko nie stało się ciężarem dla otoczenia. Sanna jest rozpieszczona przez wszystkich letników, ma zbyt duże mniemanie o sobie. Należy zrobić z tym porządek.

Mona posyła mężowi przenikliwe spojrzenie.

– Czas pomyśleć o rodzeństwie, żeby nie stała się samotną królową w obejściu.

Już wcześniej o tym rozmawiali, rozmyślali i planowali. Najlepiej, gdyby dziecko urodziło się po sianokosach, po zakończeniu największych prac, ale gdy nadal jest ciepło. Dokładnie pod koniec lipca. Mona liczy na palcach:

– Połowa października. Wtedy zaczniemy.

Mówi, jakby dotyczyło to kolejnej pracy, ale zawstydzą się i odwraca głowę, zakrywa twarz dłońmi, uśmiecha się między palcami. On wstaje z krzesła i ją przytula, a ona wyrывa się jak Sanna.

– Jeszcze nie! Najpierw przez dwa tygodnie modlitwy do późnego wieczora.

Tak pastorstwo praktykują kontrolę urodzin. Pracują w pocie czoła, za późno przychodzą do łóżka, a wtedy padają nieżywi. Z kolei za dnia o każdej porze ktoś może przyjść, a to sprzyja wstrzemięźliwości i cnocie.



Moment jest bardzo stosowny. Targi śledziowe w Helsinkach rozpoczynają się w drugą niedzielę października, spora część parafii zawczasu udaje się w drogę. W ostatnią niedzielę przed wyjazdem wiele osób odwiedza kościół. To gest podziękowania za zakończony okres połowów. Pastor modli się za tych wyruszających na jarmark, śpiewają psalm *Jasny dzień lata sunie ku przemianie*. Słysząc, że ich głosy są ochrypięte, mniej płynne niż latem. Wiatr łomocze o dach świątyni, płomienie świec drżą w przeciągu, w wazonach na ołtarzu Mona włożyła kiście jarzębiny, ponieważ kwiatów już nie ma. Kiedy wierni odpływają do domów, wiatr jest tak silny, że spaliny zawiewają do przodu. Po wyjściu kościelnego zostają sami. W ciągu trzech tygodni tak wielu wyjechało, że nie opłaca się organizować zebrania. Panuje absolutny spokój.

Patrzą na siebie, a potem odwracają wzrok. On wyciąga dłoń, a ona się cofa. Bierze Sannę za rękę i idzie z nią małymi kroczkami, jak gołąb. On tuż za nimi, nastroszony, w środku nieustannie gaworzący, gorący jak lawa, chociaż wieje. Do środka, zdejmując tokę. A dalej?

Jest dopiero popołudnie. Czas na nocnik Sanny. Obiad na stole. Pastor ledwo wytrzymuje widok łyżki wsuwanej

i wysuwanej spomiędzy ust żony. Sanna się pieści, jest taka grzeczna, ale przeszkadza i jęczy, choć nic jej nie boli. On nie chce brać córki na ręce, chociaż ta z płaczem wyciąga do niego ramiona. Mama nią potrząsa.

– Cicho już! Do łóżka!

Zazwyczaj w niedzielne popołudnie Sanna przez dłuższą chwilę śpi, ale teraz za żadne skarby nie da się jej spacyfikować. Skacze w łóżeczku, nie może się uspokoić. Mona się poddaje i wychodzi do kuchni pozmywać.

– Niech się chwilę popieści – mówi do pastora, który właśnie próbuje poczytać gazetę sprzed trzech dni.

Gdy w sypialni zapada cisza, nastawia uszu. Mona wygląda z kuchni i sztywnieje.

– Muszę tylko... dokończyć. – Czy co tam jeszcze musi zrobić.

Ale gdy wylewa wodę po zmywaniu do wiadra, z sypialni dobiega wycie Sanny. Raczej nic złego jej się dzieje, poza tym, że wyczuwa, że oni desperacko starają się ją uspić. Żeby spała długo i głęboko. Nigdy więcej!

Godziny mijają, po raz pierwszy Sanna jest bez poobiedniej drzemki. Mona się poddaje. Zazwyczaj to ona wygrywa, ale teraz patrzy na zegar, wchodzi do sypialni i wyciąga córkę z łóżeczka.

– Jeśli drzemka ci nie pasuje, to bardzo proszę, żebyś teraz nie usnęła nam aż do wieczora! – złości się. – W przeciwnym razie nigdy nie usniesz!

Przestraszona Sanna kiwa głową. Kiedy mama się złości, nie pomaga, że zna się wiele słów i potrafi wypowiedzieć całe zdania. Wtedy można tylko płakać. A tata się okopał, udaje, że nie słyszy.

Ożywiona i ciekawska Sanna, która zawsze znajdzie sobie jakieś zajęcie, teraz jest po prostu nieszczęśliwa. Zmęczona, wręcz nieprzytomna. Gdy tak siedzi na podłodze, pociera oczy i wygląda, jakby miała paść. Mama nią potrząsa.

– Panienka nie chciała spać, więc teraz bardzo proszę, żeby nadal nie chciała!

Piją popołudniową kawę, Sanna nie jest w stanie przełknąć ani kropli mleka, ani kęsa drożdżowego ciasta, ciągle płacze. Do wieczora jest tak daleko, że trudno sobie wyobrazić, aby dzień kiedykolwiek miał się skończyć. Mona jest zła i szorstka, Petter nie śmie się odezwać.

– Czy naprawdę chcemy jeszcze jedno? – pyta pastorowa.

On wybucha tchórzliwym, ostrożnym śmiechem, być może tak samo jak Sanna nie rozumie, o co jej chodzi. Tylko że się złości, nigdy nie wybaczy córce, że ta nie chciała uciąć sobie poobiedniej drzemki.

Wreszcie Mona idzie doić, a Petter bierze Sannę na kolana i razem czytają gazetę. Na Wyspach Alandzkich i na świecie dużo się wydarzyło. Głos taty przyjemnie wibruje, gdy przyłoży się głowę do jego klatki piersiowej. Można by wręcz usnąć, ale wtedy on się porusza, mówi:

– Nu, nu, Sanna. Jak tylko mama wróci, będzie kolacja, więc proszę teraz nie zasypiać. Potem pójdziemy lulać, zaraz po jedzeniu.

Kiedy to mówi, jest przemiły, ale ona jest śpiąca i znów zaczyna płakać, czym zasmuca tatę.

– Moje maleństwo, kochanie. Uwierz mi. Wszystko minie. W nocy będziesz spała jak zabita, a jutro rano znów humor ci dopisze. Chodź, przygotujemy wszystko, żebyśmy zjedli zaraz jak mama wróci.

Idą do kuchni, Petter nalewa wody do garnków, rozpala i nakrywa do stołu. Trzeba podgrzać zupę rybną. Kroi chleb i wyjmuje masło, rozkłada talerze, sztućce, szklanki i kubeczek Sanny. Mona powinna już wrócić, ale jeszcze jej nie ma. Znów nie wiedzą, co mają robić. Petter nie może zostawić Sanny samej, żeby sprawdzić, czy coś się stało. Nie może jej też wziąć ze sobą, gdyż wtedy mama się zdenerwuje, że mała płacze.

Czekają, on bardziej podenerwowany, niż daje po sobie poznać. W końcu Mona przychodzi. Z impetem otwiera drzwi, z hukiem je za sobą zamyka. Wściekła brzęczy kanakami, zdziera z siebie fartuch, ciska o ścianę kaloszami. Petter ostrożnie zagląda do przedsionka.

– Co się stało? Niepokoiłiśmy się. Chciałem wyjść, ale...

– Bydlaki! Najpierw w ogóle nie mogłam ich znaleźć, nie odpowiadały na moje wołanie. Poszłam sprawdzić ze wzgórza, potem zeszałam w stronę gospodarstw, a tam dostałam prawie ataku serca. Teraz to nasze krowy stratowały ogrodzenie i przeszły do krów sąsiada. Skaranie boskie! Jakby nie miały co jeść na własnym pastwisku! U sąsiada krowy wyjadają resztki z łysych skał. Musiałam iść do nich z przeprosinami. Nawet nie wiesz, jakie to upokarzające. Wyklócam się z nimi, że wpuszczają swoje krowy do nas, a teraz to nasze przedarły się do nich. Wyobraź sobie ich zadowolone miny! Mogłabym... W każdym razie natychmiast obie przegoniłam, ale jak doszłyśmy do udojni, Rubinka nie chciała dać się uwiązać. Zaczęła się bawić i szarpać, uderzyła Duszkę, a wtedy ta zaczęła uciekać. Gdybym miała strzelbę, Rubinka dostałaby kulkę między oczy! Nie mam zamiaru tak się szarpać. Jutro zostają w oborze. Już i tak za długo są na zewnątrz, a siana nam starczy. Pierwsze, co zrobisz z rana, to naprawisz ogrodzenie!

Pastor jest w stanie wydusić z siebie jedynie słabe „oj”. Na rękach trzyma Sannę jak skamieniałą.

– Jedzenie czeka – mówi pełen obaw. – Zupa jest ciepła. Siadaj i się uspokój. Pewnie jesteś wykończona.

Ona głośno parska. Jasne, że nie jest w stanie od razu się uspokoić. Cały wieczór będzie zła, inaczej się nie da. Nie było jej tak długo, że zrobiło się całkiem ciemno. Lampka naftowa przyjemnie świeci, niewielka rodzina mogłaby spędzić przy niej przyjemny wieczór. Ale nie dzisiaj. Mona zgadza się usiąść do stołu, Petter podaje zupę, próbuje nakarmić Sannę.

Miesza zupę w talerzu, żeby wystygła, ale gdy unosi ją w łyżce, nadal jest za gorąca, więc mała potrząsa głową i trafia w łyżkę. O nie! Sanna!

Mona wybucha.

– Cicho! Wiecznie jakieś piski! Jesteś niemożliwa! A fe!

Zrywa się z krzesła po ścierkę, zamaszystymi ruchami wyciera stół, wyciera także płaczącą Sannę. Natura pośrednika charakteryzująca pastora Pettera Kummela w niczym tu nie zaradzi, należy się skulić i przeczekać, aż burza minie.

– Teraz masz jeść! – rozkazuje Mona.

Wlewa w Sannę kolejne łyżki, a ona nie śmie robić nic innego, tylko przełykać. Petter widzi, że wszystko zwróci przed końcem wieczora. Ten dzień, który tak dobrze się zaczął – nabożeństwo, radosne życzenia szczęśliwej podróży dla wypływających na jarmark – wykoleił się i teraz leży przewrócony w rowie. Sanna jest kozłem ofiarnym. Ma zaledwie półtora roku, nie dorosła jeszcze, by zrozumieć, że należy się wycofać i dać rodzicom przestrzeń do prokreacji.

Pastor wstaje i podnosi córkę.

– Połóż ją i potem pozmywam. A ty sobie odpocznij. Nawet nie otworzyłaś czwartkowej gazety, którą wczoraj dostaliśmy. – Po czym zwraca się do Sanny: – Moje maleństwo, no już nie płacz.

Mona też wstaje i wrywa mu Sannę.

– Nocnik! A potem mycie! Odpocznij, phi!

Wprawdzie pastor też zna się na rutynowych zajęciach, ale gdy pastorowa się złości, człowiek staje się sparaliżowany i traci ogromną część rozumu.

– Zrobię to – mówi do niej.

Ale tak jak tego wieczora musiała pouczyć Rubinkę i Duszkę, tak też musi wychować Sannę. Nie ma lekko. Żąda poddaństwa, ale żadna z nich za bardzo nie wie, co ma robić. Petter w salonie głuchnie, podczas gdy Mona sprawuje rządy nad córką. A ta się zatyka i do nocnika nic nie wychodzi.

Wrzeszczy i wymachuje rękami podczas kąpieli, i faktycznie, zwraca na dywan w kuchni.

– A fe! – krzyczy pastorowa. – Wstydź się! Jak ty się zachowujesz?

Przerażony pastor zagląda do nich.

– Jak wam idzie? Mogę pomóc?

– Nie wtrącaj się! – syczy Mona, więc obrońca Sanny się wycofuje.

Córka zostaje zatem sam na sam z żywiołem, który Petter czasami czule nazywa swą małżonką. Rozpacz jest doprowadzona do granic możliwości, aż w końcu Sanna zostaje spacyfikowana w łóżeczku. Pojawia się pastor, by spełnić swe powołanie i zmówić pacierz, ale zostaje odprawiony. Pastorowa recytuje: „Baranku Boży” jako zachętę do walki, a potem kończy słowami:

– Ani mru-mru! Teraz śpij! Dobranoc!

Zdmuchuje świeczkę, zostawia córkę w ciemności i wychodzi. W salonie się świeci, Sanna słyszy ich rozmowę, ale czuje się potwornie porzucona; płacze i płacze, aż w końcu zasypia.

Pastorowa jest daleka od pożądanego, a pastor czuje się skrupowany i niewystarczający. Mimo to chce okazać dobrą wolę, otacza ją ramieniem i zwraca do siebie jej twarz; ona energicznie się uwalnia i parska, jak tylko ona potrafi.

– Po takim dniu przyda ci się egzegeza – zaleca. – Oraz list do drogiej matki – dodaje jadowicie. – Poza tym jestem nieumyta. Jak ja mam dać wszystkiemu radę?

Nie pora, żeby powiedzieć, że jeśli ktoś ma siłę, to ona. Pastor żałuje, że nie ma żadnej sprawy do załatwienia w wiosce, w ten sposób mógłby się wycofać; naprędce zmyślonej wymówki albo jakiegoś innego ważkiego powodu, by zniknąć. Za późno przychodzi mu do głowy, że mógł pozmywać, kiedy ona kładła Sannę. Teraz Mona hałasuje w kuchni, drzwi do przedsionka i kancelarii są zamknięte, żeby nie wypuszczać ciepła. W kancelarii się nie grzeje, jest surowo i zimno, ale

tak późno nie ma sensu rozpalać. Dygocąc, siada do biurka, książki w zasięgu ręki, prawo kościelne bez względu w wahania i troski zwykłego człowieka.

Nie bez powodu można się obawiać, że cały plan rozmnażania spali na panewce, ale młodość pastorostwa umożliwia na szczęście gwałtowne zmiany. Sen potrafi zdziałać cuda i gdyby nie to, że Sanna wcześniej się budzi, być może już nad ranem do czegoś by doszło. Sanna ma krótką pamięć małego dziecka, budzi się uwolniona od przepaści wczorajszego nieszczęścia. Uśmiecha się i grucha, widząc ukochanego idola:

– Tata, dobly!

I żeby sprawiedliwości stało się zadość:

– Mama, dobly!

Cały dzień jest zadowolona i grzeczna, a wieczorem zasypia bez jednego mruknięcia.

Wtedy małżonkowie po cichu przenoszą łóżeczko do kancelarii, po czym wracają do sypialni.

– Och, jak zimno! Chodź tu szybcitko! Jakie zimne stopy!

Podczas gdy większość mieszkańców wyspy jest na jarmarku, a Örandia nabiera oddechu po gorączkowych miesiącach, na plebanii aż buzuje. Żądze pastowej są równie płomienne jak jej złość, a pastor jest wytrzymały i wysportowany. Zanim łódzie wrócą z jarmarku, pastora z dużą dozą prawdopodobieństwa może uznać, że jest w ciąży.